

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (44)

(fragmenty)



Kraków miastem jubileuszy.

Co się robi z jubilatem, wiadomo. Jak pisał Boy-Żeleński: sadza się w fotelu starego pryka i się go jubileuszowe tyka...

W salonie Anny Dymnej w foyer Teatru Słowackiego przypomnieliśmy sobie i innym, że stuknęło 40 lat naszej przyjaźni z Adamem Ziemiannym.

Dlaczego nie? Dlaczego w Polsce normalne jest, gdy Kaczyński drze koty z Tuskiem, Miłosz z Herbertem, Cześć z Rejentem, Wałęsa z Walentynowicz, Kowalski z Kowalskim, a przyjaźń dwu artystów to rzadkość jak cielę z dwiema głowami?

Anna Dymna i Jacek Romanowski z Teatru Starego z wielkim wyczuciem i naturalnością – a więc tak jak lubię – czytali nasze wiersze, były piosenki do wierszy, dowcipne słowo wiążące całość Wacka Krupińskiego, sprzedawało się trochę książek (ja promowałem polsko-angielski tom *Only so much. Tylko. Aż*, wydany przez Podkarpacki Instytut Książki w Rzeszowie), jak zwykle w Salonie Ani nie zbrakło ludzi; zebrało się około 200 osób. No i „40 lat minęło”...

Przyjaźń z Adamem zaczęła się we wrześniu 1967, gdy ja jako technik górnik po rocznej pracy w kopalni w Wałbrzychu i Adam – jednoroczny rewident sklepów po Liceum w Krynicy – spotkaliśmy się na Krupniczej 22 w jednej ławie Studium Nauczycielskiego. Zamiast słuchać wykładów z filologii polskiej notowaliśmy coś pilnie w kajecikach pod ławką; rychło odkryliśmy, że robimy to samo, piszemy wiersze, co nas oczywiście zbliżyło.

Pierwsze publikacje: moja u Tadeusza Nowaka w „Tygodniku Kulturalnym” i Adama u Tadeusza Śliwiaka w „Życiu Literackim”, pierwsze spotkania z prawdziwymi poetami: m.in. z naszym ówczesnym mistrzem Jerzym Harasymowiczem, który oceniał nasze próbki, a mieszkał wtedy na Łobzowskiej i zażywał już od lat sławy księcia poetów polskich, pierwsza wspólna miłość (kochaliśmy się obydwa platonicznie i bez większego powodzenia w naszej koleżance Halince). Spotkania z Adamem Zaga-

jewskim, Julkiem Kornhauserem, Staszkiem Stabro, Witem Jaworskim, tworzącymi wówczas grupę „Teraz”, do której przez przypadek krótko należałem, mimo że nie miałem z nią, w związku z jej upolitycznionym programem, nic wspólnego.

Pierwsze wspólne ekscesy piwno-winne z Adasiem, za co wyrzucono nas po pierwszym roku z akademika i zaginiony szyld z naszego pokoju: „Chcesz się napić wina, idź do Ziemiannina” lub „Chcesz się napić wódki z rana, idź do Barana”.

Nasz drugi rok wspólnej biedy, gdy spaliliśmy nawet przez pewien czas w jednym łożu u pewnej babci na Krasickiego, w ciasnym pokoiku za 100 złotych miesięcznie. Gdy zmierzchało na dworzec, babcia wychodziła jak duch ze świecą w ręce i ostrzegała pogrobowym głosem: „panowie kawalerowie, gaście światło, musimy oszczędzać na prądzie”.

Więc prawdę mówiąc, żyliśmy na mieście, a do tego mieszkania przychodziło się tylko, żeby się przespać.

Pierwszy raz zażyłem wątpliwej przyjemności znalezienia się w izbie wytrzeźwień: zakratowane okna, zaryglowane drzwi i okropne, zachryple typy. Płaciło się za taką izbę jak za woły, w dodatku próbowano mnie szantażem zmusić do współpracy z SB, co opisałem szerzej w *Koncerte dla nosorożca*.

Pierwsza i jedyna w moim życiu groźba zastrzelenia niejakiego sierżanta „Sprzącki”, który znęcał się nade mną jako nad antytalentem na poligonie wojskowym w Sanoku. Groźba wypowiedziana przy całym plutonie poskutkowała, tak że jakoś udało mi się zaliczyć wojsko.

Adam z takim talentem do błyskotliwego zawierania przyjaźni był nazywany fuksiarem: bo wszyscy go lubili, wszystkim był bliski, zgadując w lot, co komu powiedzieć, by zyskać sympatię... Ten empatyczny talent bardzo mu pomagał w pisaniu liryki, z którą prawie każdy mógł się utożsamić oraz w znajdowaniu...jeleni stawiających wódkę, z czego i ja korzystałem. Byliśmy jak ogień i woda; on łagodny, spolegliwy i zgodliwy, ja – często skłócony i po szczeniacku zjeżony na świat. Może dlatego tak świetnie dopełnialiśmy się. Charakteryzując nas najkrócej: gdy ja najczęściej gubiłem pieniądze, on je znajdował na ulicy...

Po dwuletnich studiach wyładowaliśmy jako nauczyciele w górach: on w żywieckim Brzuśniku, ja w Grzechyni koło Makowa Podhalańskiego. Oczywiście odwiedzaliśmy się nawzajem.

Raz pamiętam, jak wprawił mnie w duży kłopot, gdy po zabawie ludowej w miejscowej remizie przyszedł w ślad za spolegliwym Adamem dwie znane w tej okolicy i dość mocne napite „mewki”, których nie mogłem w żaden sposób spławić, a musiałem to w końcu zrobić, bo po pierwsze były brzydkie jak noc, po drugie gospodarze grozili mi wyrzuceniem ze stacji, po trzecie miejscowi szli na mszę do kościoła, a po czwarte i najważniejsze – musiałem w tej wsi świecić jako belfer przykładem.

Startowaliśmy już wtedy w konkursach literackich i wygrywaliśmy je, znów spotyka-

jąc się na wręczaniu nagród: np. trzykrotnie w podszczecińskim Świdwinie, gdzie poznaliśmy podczas bratania się jurorów z młodymi poetami tak wspaniałych twórców, jak Zbigniew Herbert, Anna Kamińska, Zbigniew Bieńkowski. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie biesiadna natura Herberta śpiewającego pieśni akowskie. Pamiętam moje nieśmiałe przeciwstawienie się mu, że poezja jest dla wielu, gdy on twierdził stanowczo, i chyba miał rację, że tylko dla nielicznych.

Adam umiał zwykle śmiać się z siebie, co było jego wspaniałą cechą, chyba że znalazł się w filisterskim towarzystwie, wtedy na moment zamieniał się w filistra, ponieważ jak powiedział, ma w naturę byka wpisaną harmonijność. We mnie natomiast, gdy znalazłem się w towarzystwie krakowskich snobów, w dodatku powołujących się na arystokratyczne pochodzenie, natychmiast budził się rewolucyjny duch Jakuba Szeli...

Po roku belferki Adam ratował się ucieczką na krakowski UJ przed groźbą małżeństwa z pewną brzusniańską Ewą, ja z kolei rejterowałem przed śliczną góralką Hanią, może nie dlatego, żeby mi się nie podobała, ale... że byłem jeszcze za zielony na zakładanie rodziny. Mimo to, po dwu latach pracy nauczycielskiej w podtarnowskich Olszynach, założyłem ją, żeniąc się z nauczycielką chemii, Zofią. Za chwilę przyszła na świat Aśka, a w cztery lata potem, już w Skawinie, Ewa. Z konieczności musiałem dość szybko grać rolę ojca rodziny, choć nie byłem do niej specjalnie przygotowany. Adam natomiast wiodł żywot beztrudnego żaka birbanta, mieszkając o wiele dłużej niż by wypadało w krakowskim „Zaczku”, dokąd ze swojej wsi od czasu do czasu przyjeżdżałem i gdzie poznałem m.in. innego zdolnego poetę, Andrzeja Warzechę. Oczywiście zażyczyłem Adamowi przedłużonej młodości, wojaży z Wojtkiem Bellonem z „gitarą i piórem”. Z drugiej strony udało mi się w tym czasie skończyć zaocznie studia, napisać parę tomików (m.in. zbiór *Na tyłach świata*), otrzymać parę prestiżowych nagród. Dzięki temu, że żona zająła się prozą życia, ja mogłem bujać w poetyckich obłokach.

Na szczęście dla Adama, który mógłby się do cna zdemoralizować, gdyby wiodł dalej żywot waletującego żaka i waganta, trafił któregoś dnia jak kosa na kamień na Marysię (wnuczkę Zegadłowicza), której udało się go powolotku sprowadzić na ziemię.

...I tak można by ciągnąć w nieskończoność tę czterdziestoletnią opowieść o różnych fazach naszej przyjaźni, przeżywającej niekiedy kryzysy i trudne momenty, czemu trudno się dziwić; przecież bywaliśmy też dwoma rywalizującymi ze sobą poetami. Mimo wszystko tworzyliśmy tandem poetycki w pierwszej połowie lat 90., gdy zarabialiśmy, wędrując po Polsce z książkami w plecakach. Wydawaliśmy wtedy przejściowo w niszowych oficynach i udało nam się sprzedać setki, ba, tysiące tomików na licznych spotkaniach autorskich w domach kultury, szkołach i klubach.

cdn.